



IAN

RANKIN

STOJĄC W CUDZYM GROBIE

Rankin pozostawia w tyle współczesnych brytyjskich twórców kryminału
THE TIMES

Starał się nie stać zbyt blisko otwartego grobu.

Zwarte szeregi żałobników zasłaniających widok. Niosących trumnę wywołano według numerów, zamiast po imieniu — było ich sześciu, poczynając od syna zmarłego. Deszcz jeszcze nie padał, ale miał już zaklepany termin. Cmentarz był względnie nowy, położony na południowo-wschodnim krańcu miasta. Rebus odpuścił sobie mszę, nie zamierzał również iść potem na drinka i kanapki. Obserwował tyły ludzkich głów; pochylone ramiona, nerwowe ruchy, tu kichnięcie, tam chrząknięcie. Niektórych znał, ale pewnie niewielu. Między dwoma żałobnikami powstała luka i zobaczył fragment grobu. Jego brzegi wyłożono zielonym suknem, jakby ktoś chciał ukryć brutalną prawdę. Wypowiadano jakieś słowa, ale nie wszystkie słyszał. O raku nie wspomniano. Jimmy Wallace „został nam bezlitośnie odebrany”, pozostawił żonę, troje dzieci i pięcioro wnuków. Pewnie stali gdzieś z przodu, duzi na tyle, by rozumieć, co się dzieje. Ich babka wydała pojedynczy przesywający jęk i ktoś ją właśnie pocieszał.

Chryste, ależ mu się chciało palić.

Jak dobrze znał Jimmy’ego Wallace’a? Nie widział go od czterech czy pięciu lat, ale dziesięć lat temu, może nawet

więcej, pracowali razem w tym samym wydziale. Wallace nie był śledczym, tylko mundurowym, należał jednak do tych, z którymi gadało się i tak. Z którymi żartowało się, plotkowało i od czasu do czasu wymieniało przydatnymi informacjami. Sześć lat temu przeszedł na emeryturę, mniej więcej wtedy, kiedy po postawieniu diagnozy przechodził chemię i zaczął tracić włosy.

„Słysnął z wrodzonego poczucia humoru...”

Może i tak, ale lepiej być ponurakiem i żyć. Czuł w kieszeni paczkę papierosów, wiedział, że może cofnąć się kilka metrów, stanąć za drzewem i zapalić. Przypomniały mu się szkolne lata, szopy na rowery zasłaniające widok z okna dyrektora. Nauczyciele, którzy czasem przychodzili do nich, prosząc o ogień, o papierosa, a nawet o całą paczkę, cholera.

„Znana postać w lokalnej społeczności...”

I dobrze znana przestępcom, których wpakował za kratki. Kto wie, może kilku z nich, starych wiarusów, przyszło oddać mu ostatni hołd. Trumnę opuszczano właśnie do grobu i wdowa znowu głośno zapłakała, wdowa, a może jedna z córek. Parę minut później było już po wszystkim. Wiedział, że za drzewami czeka koparka. Wykopała dół i niebawem miała go zasypać. Kopiec wydobytej z grobu ziemi przykryto takim samym zielonym sukniem jak brzegi grobu. Wszystko bardzo gustownie. Większość żałobników nie zwlekała z odejściem. Jeden z nich, mężczyzna o pooranej zmarszczkami twarzy i opadających kącikach ust, włożył ręce do kieszeni czarnego wełnianego płaszcza i podszedł bliżej, pozdrawiając go lekkim skinieniem głowy.

— John — rzucił.

— Tommy — odparł Rebus i też skinął głową.

— Kiedyś i na nas przyjdzie kolej, co?

— Ale jeszcze nie teraz.

Ruszyli w stronę bramy.

— Podrzucić cię?

Rebus pokręcił głową.

— Jestem samochodem.

— Koszmarny ruch, jak zwykle.

Rebus poczęstował go papierosem, ale Tommy Beamish powiedział, że przed paru laty rzucił palenie.

— Lekarz mówi, że po tym się nie rośnie.

Rebus zapalił i zaciągnął się dymem.

— Ile to już lat minęło, odkąd wypadłeś z gry?

— Dwanaście i co rok ich przybywa. Mam fart. Za dużo jest takich jak Jimmy: dostają złoty zegarek i zaraz potem lądują na stole sekcyjnym.

— Wesoła perspektywa.

— To dlatego ciągle pracujesz? Słyszałem, że jesteś teraz we WSON-ie.

Rebus powoli kiwnął głową. Dochodzili już do bramy. Mijały ich pierwsze samochody, ubrani na czarno członkowie rodziny z utkwionymi przed siebie oczami. Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. Mieli różne stopnie, pracowali w innych wydziałach. Próbował przypomnieć sobie nazwiska wspólnych kolegów.

— Cóż... — Beamishowi też było trudno. Wyciągnął rękę, a Rebus ją uściśnął. — Do następnego, co?

— Pod warunkiem że to nie jeden z nas będzie leżał w dębowej jesionce.

Beamish prychnął i odszedł, stawiając kołnierz, żeby ochronić się przed deszczem. Rebus rozgniół butem niedopałek papierosa, odczekał chwilę i ruszył do samochodu.

Ruch w Edynburgu był rzeczywiście koszmarny. Tymczasowe światła, zamknięte ulice, objazdy. Wszędzie długie korki. A prawie wszystko to tylko po to, żeby ułatwić budowę jednej linii tramwajowej między lotniskiem i centrum miasta. Kiedy po raz kolejny się zatrzymał, sprawdził, czy nie dostał jakichś SMS-ów, i bez zdziwienia stwierdził, że nie. Nie miał na głowie żadnych pilnych spraw:

pracował nad dawno nieżyjącymi, zapomnianymi przez świat ofiarami morderstw. Wydział Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych miał na tapecie jedenaście śledztw. Najstarsza sprawa pochodziła z 1966 roku, najnowsza z 2002. Kiedy trzeba było jechać na jakieś groby, wsiadał do samochodu i jechał. Na kilku rodziny i przyjaciele wciąż zostawiali kwiaty, a nazwiska ze znalezionych tam wizytówek zapisywał w notesie i dołączał do akt — nie był pewny po co. Włączył odtwarzacz i z głośników popłynął głos Jackiego Levena, niski, taki prosto z trzewi. Śpiewał o tym, że stoi w cudzym grobie. Rebusowi zwężyły się oczy. Na chwilę przeniósł się myślą na cmentarz, zadowolony, widzi tylko głowy i ramiona ludzi. Sięgnął na fotel pasażera i z trudem wyjął z opakowania broszurkę z tekstami piosenek. Ta nosiła tytuł „Stojąc w cudzym deszczu”. Tak właśnie śpiewał Jackie: stojąc w cudzym deszczu.

— Pora zbadać sobie uszy — mruknął Rebus.

Jackie Leven też już nie żył. Rok młodszy od niego, mniej więcej. Obydwaj pochodzili z Fife*. Rebus zastanawiał się, czy jego szkolna drużyna grała kiedykolwiek w nogę przeciwko szkole Jackiego — była to chyba jedyna okazja, kiedy jako dzieciaki z różnych szkół mogliby się spotkać. Tyle że nie miało to żadnego znaczenia, bo ani razu nie wybrano go do pierwszego składu, tak że skazany na grzanie ławy, kibicował kumplom z bocznej linii, patrząc, jak się kiwają, strzelają bramki i obrzucają się wyzwiskami.

— Stojąc w deszczu wszystkich sukinsynów — powiedział na głos. Sunący za nim samochód zatrąbił. Kierowca się spieszył. Czekają go jakieś spotkania, ważni ludzie, których nie chciał zawieść. Jeśli zaraz nie ruszą, cały świat zawali się i spali. Rebus zastanawiał się, ile godzin życia tak zmarnował. Tak albo na obserwacji. Albo wypełniając formularze, sporządzając zamówienia i podpisując listy

* Historyczne hrabstwo w Szkocji.

obecności. Zapiszczała komórka i zobaczył, że to SMS od szefa.

„Mówiłeś, że o 3!”

Zerknął na zegarek. Było pięć po. Mniej więcej za dwadzieścia minut powinien być w biurze. W dawnych czasach miałby pewnie syrenę i koguta na dachu. Mógłby wjechać na przeciwległy pas i zaufać losowi, że nie wylądaje na ostrym dyżurze. Ale teraz nie miał nawet porządnej odznaki, bo nie był gliniarzem. Był emerytowanym policjantem, który pracował w policji okręgu Lothian i Borders jako zwykły cywil. Jego szef był jedynym członkiem zespołu w czynnej służbie. I bynajmniej nie skakał z radości, że przyszło mu niańczyć bandę geriatryków. Nie cieszył się również z tego, że o trzeciej ma spotkanie i że jego podwładny znowu się spóźnia.

„Po co ten pośpiech?”, odpisał Rebus tylko po to, żeby go wkurzyć. Potem podkreślił głośność i puścił tę samą piosenkę. Jackie Leven wciąż stał w cudzym grobie.

Jakby mało mu było deszczu...



Zrzucił płaszcz i zachlapując podłogę wodą, powiesił go na haczyku na przeciwległej ścianie.

— Dzięki, że ci się chciało — powiedział Cowan.

— Przepraszam, Danny.

— Daniel — poprawił go szef.

— Przepraszam, Dan.

Cowan siedział przy biurku i nie całkiem sięgając nogami podłogi, demonstrował skarpetki ze wzorem paisley w czerwonej tonacji i skórzane buty, czarne i błyszczące. Pastę i szczotki trzymał w dolnej szufladzie. Rebus wiedział o tym, bo pewnego dnia, pod nieobecność Cowana, zajrzał do niej, sprawdzwszy uprzednio dwie górne.

— Czego tam szukasz? — spytała go Elaine Robison.

— Tropów — odparł.

Teraz Robison stała przed nim z kubkiem kawy w ręku.

— Jak było?

— Jak na porzeczbie — odrzekł Rebus, podnosząc kubek do ust.

— Moglibyśmy zacząć? — warknął Cowan. W szarym garniturze nie wyglądał najlepiej. Ramiona miał za bardzo wypchane, kłapy za szerokie. Wyzywającym gestem przecesał ręką włosy.

Rebus i Robison usiedli obok Petera Blissa, który oddychał ciężko nawet wtedy, kiedy nic nie robił. Ale świszczał tak już przed dwudziestu, może nawet czterdziestu laty. Niewiele starszy od Rebusa pracował we WSON-ie najdłużej z nich wszystkich. Siedział z rękami splecionymi na wielkim brzuchu, jakby rzucał światu wyzwanie, by zaskoczył go czymś całkiem nowym. Widział wielu takich jak detektyw sierżant Cowan i powiedział to Rebusowi jego pierwszego dnia pracy w wydziale:

— Uważa się za kogoś lepszego. Myśli, że jest dla nas za dobry, że ci z góry o tym wiedzą i zesłali go tu tylko po to, żeby utrzyć mu nosa.

Przed emeryturą Bliss dochrapał się stopnia detektywa inspektora — tak jak Rebus. Elaine Robison była detektywem posterunkowym i brak awansu składała na karb tego, że na pierwszym miejscu zawsze stawiała rodzinę.

— I słusznie — powiedział na to Rebus (po kilkutygodniowej znajomości) i dodał, że jego małżeństwo już dawno przegrało walkę z pracą.

Robison skończyła niedawno pięćdziesiąt lat. Syn i córka wyprowadzili się już z domu, ukończyli studia i wyjechali na południe do pracy. Na jej biurku stały ich oprawione w ramkę zdjęcia, wraz ze zdjęciami pokazującymi Elaine na Sydney Harbour Bridge i za sterami małego samolotu. Ostatnio zaczęła farbować włosy, nie żeby Rebus widział w tym coś złego. Ale nawet z pasemkami siwizny wyglądałaby dziesięć lat młodziej, mogłaby uchodzić nawet za trzydziestopięciolatkę, rówieśnicę Cowana.

Rebus domyślił się, że to właśnie on ustawił tak krzesła. Równym rzędem siedzieli przed jego biurkiem, tak żeby musieli na niego patrzeć.

— Nosisz te skarpetki, bo się z kimś założyłeś? — spytał znad kubka.

Cowan zbył tę uwagę bladym uśmiechem.

— Czy ja dobrze słyszałem, John? Złożyłeś podanie o

ponowne przyjęcie do pracy? — Czekał, aż Rebus przyzna, że to prawda. Podniesiono wiek emerytalny, co znaczyło, że funkcjonariusze z jego rocznika mogli wrócić do służby. — Rzecz w tym — ciągnął, pochylając się lekko do przodu — że po opinię zwrócą się do mnie. A jak tak dalej pójdzie, nie będzie to raczej list zagorzałego wielbiciela.

— Ale autograf i tak ci mogę dać — zapewnił go Rebus.

Trudno było powiedzieć, czy świszczące sapanie Blissa zmieniło tylko barwę, czy Bliss próbował stłumić śmiech. Robison spuściła wzrok i uśmiechnęła się. Cowan powoli pokręcił głową.

— Czy mogę wam przypomnieć — odezwał się spokojnie — że naszemu wydziałowi grozi likwidacja? A jeśli zostanie zlikwidowany, tylko jednego z nas przyjmą z powrotem do wielkiej chrześcijańskiej wspólnoty. — Wskazał palcem swoją pierś. — Dlatego mile widziany byłby jakiś sukces. Jakiś postęp.

Wiedzieli, o czym mówi. Crown Office, niezależna szkocka prokuratura, otwierała niebawem Wydział Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych dla całej Szkocji. Gdyby przejęła ich akta, wszyscy straciliby pracę. W bazie danych nowego WSON-u znalazłby się dokumentacja dziewięćdziesięciu trzech spraw sięgających lat czterdziestych, łącznie z aktami policji okręgu Lothian i Borders. Gdyby powstał i zaczął działać, pojawiłyby się pytania co do użyteczności mniejszego wydziału edynburskiego. Brakowało pieniędzy. Już teraz przebąkiwano, że jedynym rezultatem odkurzania starych, niewyjaśnionych spraw jest drenaż budżetu przeznaczonego na miejskie — bardzo pilne — sprawy bieżące.

— Mile widziany byłby jakiś sukces — powtórzył Cowan. Szybko wstał, obszedł biurko, zerwał ze ściany wycinek z gazety i pomachał nim dla większego efektu. — Angielski Wydział Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych — wyrecytował monotonnym głosem. — Oskarżony o

morderstwo nastolatki popełnione prawie pięćdziesiąt lat temu. — Przesunął wycinek tuż przed ich twarzami. — DNA... Analiza miejsca zbrodni... Świadkowie, których gryzło sumienie. Wiemy, jak to działa, więc może byśmy tak coś zrobili?

Chyba czekał na odpowiedź, ale żadna nie padła. Przedłużającą się ciszę przerwała Robison.

— Nie zawsze mamy środki — odparła. — Nie wspominając już o dowodach. Trudno jest wykorzystywać wyniki badań DNA, skoro gdzieś po drodze zaginęło ubranie ofiary.

— Ale jest mnóstwo spraw, w których nie zaginęło, prawda?

— I możemy zażądać, żeby wszyscy mężczyźni w jakimś miasteczku dali nam do porównania próbkę DNA? — wtrącił Bliss. — A co z tymi, którzy w międzyczasie umarli albo się przeprowadzili?

— Nie ma to jak odrobina optymizmu, Peter, i za to cię lubię. — Cowan położył wycinek na biurku i skrzyżował ręce na piersi. — Dla waszego dobra. Nie dla mojego, bo ja wyjdę z tego suchą stopą, ale dla waszego. — Zrobił pauzę, też dla większego efektu. — Dla waszego dobra: musimy działać.

W pokoju zapadła cisza, którą, nie licząc cichego westchnienia Robison, przerywało jedynie świszczące posapywanie Blissa. Cowan patrzył na Rebusa, ale on był akurat pochłonięty dopijaniem kawy z kubka.



Bert Jansch też już nie żył. Przed laty Rebus był na kilku jego solowych koncertach w Edynburgu. Jansch był edynburczykiem, ale nazwiska dorobił się w Londynie. Tego wieczoru, już po pracy, samotnie w domu, Rebus puścił sobie dwie płyty zespołu Pentangle. Nie znał się na tym, ale potrafił odróżnić grę Janscha od gry Johna Renbourn, ich drugiego gitarzysty. O ile wiedział, ten jeszcze żył — chyba nawet mieszkał w Borders. A może to Robin Williamson? Raz zabrał na koncert Renbourn i Williamsona swoją koleżankę, Siobhan Clarke; zawiózł ją aż do Biggar Folk Club, nie mówiąc, gdzie i po co jadą. Kiedy ci dwaj wyszli na scenę — wyglądając tak, jakby właśnie wstali z fotela przed buzującym ogniem — nachylił się ku niej i szepnął:

— Jeden z nich grał w Woodstock.

Wciąż miał gdzieś bilety na ten koncert. Wszystkie przechowywał, chociaż wiedział, że gdy go zabraknie, będą to kolejne rzeczy, które trafią do kosza. Obok gramofonu leżała plastikowa kostka do gitary. Przed laty wstąpił do jakiegoś sklepu muzycznego, poszwendął się trochę, kupił ją i powiedział młodemu sprzedawcy, że może wpadnie kiedyś po gitarę. Sprzedawca wspomniał, że kostkę zrobił Szkot

nazwiskiem Jim Dunlop, który robił również pedały ekspresji do efektów muzycznych. Z upływem czasu Rebus stał z niej wszystkie napisy, chociaż ani razu nią nie zagrał.

— Samolotem też nie nauczyłem się latać — powiedział sam do siebie.

Spojrzał na papierosa między palcami. Kilka miesięcy temu był na badaniach i jak zwykle dostał ostrzeżenie. Dentysta też ciągle wypatrywał pierwszych objawów czegoś groźnego. Na razie wszystko było w porządku.

— Szczęście zawsze się kiedyś kończy, John — powiedział. — Wierz mi.

— Założymy się, że na dwoje babka wróżyła? — odparł Rebus.

Zgasił papierosa w popielniczce i policzył, ile zostało w paczce. Osiem, co znaczyło, że dzisiaj wypalił dwanaście. To chyba nieźle, co? Bywało, że kończył jedną paczkę i otwierał kolejną. No i pił teraz mniej: parę piw wieczorem, a potem dwie, góra trzy szklaneczki whisky przed snem. Teraz też miał otwarte piwo — pierwsze tego dnia. Ani Bliss, ani Robison nie mieli ochoty na drinka po pracy, a Cowana nie zamierzał pytać. Szef lubił zostawać w biurze do późna. Ich wydział mieścił się w gmachu komendy przy Fettes Avenue, co dawało mu szansę na spotkanie wyższych oficerów, ludzi potencjalnie przydatnych, którzy mogliby zauważyć, że odpowiednio się do nich zwraca i zawsze dba o buty.

— To się nazywa „stalking” — oświecił go kiedyś Rebus, przyłapawszy Cowana na tym, że śmiał się za głośno ze starego kawału, który opowiedział mu na korytarzu jeden z zastępców komendanta. — Poza tym zauważyłem, że jego nie zrugalesz za to, że zwraca się do ciebie per Dan...

Ale na swój sposób było mu Cowana żal. Dawał głowę, że są policjanci mniej sprawni, którzy wspięli się po szczeblach kariery szybciej od niego. Cowan na pewno to czuł i gryzło go to tak, że prawie całkowicie wyżarło od środka. Cierpiał

na tym ich zespół, a szkoda. Rebus lubił wiele aspektów tej pracy. Ilekroć otwierał stare akta, czuł dreszcz emocji. Akta przechowywane w pudłach, pudeł było mnóstwo, a każde mogło zabrać go w podróż w przeszłość. Pożółkłe gazety zawierały nie tylko doniesienia o zbrodniach, lecz również artykuły o sprawach krajowych i międzynarodowych, wiadomości sportowe i ogłoszenia. Kazał wtedy Elaine zgadywać, ile kosztował samochód albo dom w 1974 roku, a Blissowi, który miał pamięć do nazwisk piłkarzy i trenerów, czytał wyniki ligi piłkarskiej. Ale w końcu wciągała go sama zbrodnia, jej szczegóły, protokoły z przesłuchań, dowody i zeznania rodziny. Ktoś myślał, że mu się udało. Ktoś był o tym przekonany. Rebus miał nadzieję, że wszyscy ci mordercy gdzieś tam jeszcze są, że z każdym mijającym rokiem, gdy czytają o postępach w technologii i wykrywaniu przestępstw, zżera ich coraz większy niepokój. Może kiedy ich wnuki chcą oglądać *CSI* albo *Budząc zmarłych*, oni wychodzą z pokoju i siedzą w kuchni. Może ze strachu, że dowiedzą się, iż ich sprawa została ponownie otwarta, nie mogą patrzeć na gazety, spokojnie słuchać radia i oglądać wiadomości w telewizji.

Podsunał ten pomysł Cowanowi: niech media regularnie donoszą o przełomach w śledztwie, obojętne, czy prawdziwych czy nie. Chodzi o to, żeby winowajcy nie zaznali spokoju.

— Potrząsniesz drzewem i może coś spadnie.

Cowan jednak podszedł do tego niechętnie. Czy media nie mają już dość kłopotów przez to, że wciąż coś zmyślają?

— To nie media będą zmyślać — nie ustępował Rebus. — Zmyślać będziemy my. — Ale Cowan ciągle kręcił głową.

Płyta się skończyła i Rebus zdjął z niej ramię z igłą. Nie było jeszcze dziewiątej, o wiele za wcześnie, żeby iść spać. Już zjadł; już uznał, że w telewizji nie ma nic wartego obejrzenia. W butelce zabrakło piwa. Podszedł do okna i

spojrzał na czynszówkę naprzeciwko. Z okna na pierwszym piętrze gapiły się na niego dwa dzieciaki w piżamie. Gdy pomachał im ręką, uciekły. Uciekły i podskakując na palcach, zaczęły gonić się w kółko na środku pokoju. Nie chciało im się spać i zdążyły już go wymazać ze swego wszechświata.

Ale wiedział, co chcą mu powiedzieć: tam, na zewnątrz, jest zupełnie inny świat. A to mogło znaczyć tylko jedno.

— Pub — powiedział na głos i sięgnął po telefon i klucze. Wyłączając gramofon i wzmacniacz, znów zauważył kostkę do gitary i postanowił, że ona też pójdzie.

Część pierwsza

*Na schodach baru znika mężczyzna
Z kawałkiem poranionego nieba...*

1

Kiedy zadzwonił telefon, Rebus był w biurze sam. Cowan i Bliss poszli do stołówki, a Robison miała umówioną wizytę u lekarza. Podniósł słuchawkę. Dyżurka.

— Jakaś pani chce rozmawiać z detektywem inspektorem Magrathem.

— Pomyliliście wydziały.

— Ona mówi, że nie.

Rebus zerknął na Bliss, który przytrzymując zębami brzeg paczki chipsów, wszedł do pokoju z czymś do picia w jednej ręce i kanapką w drugiej. — Chwila — rzucił do słuchawki.

— Bliss, znasz jakiegoś Magratha?

Bliss położył kanapkę na biurku i wyjął chipsy z ust.

— To on nas założył.

— Jak to?

— Był pierwszym szefem WSON-u. Można powiedzieć, że jesteśmy jego dziećmi.

— Kiedy to było?

— Z piętnaście lat temu.

— Ktoś go szuka.

— No to powodzenia. — Bliss zauważył, że Rebus dziwnie na niego patrzy. — Nie, nie umarł, nic z tych rzeczy. Sześć lat temu przeszedł na emeryturę. Kupił sobie dom na północnym wybrzeżu.

— Detektyw inspektor Magrath nie pracuje tu od sześciu lat — powiedział do słuchawki Rebus.

— Może z nią porozmawiać ktoś inny?

— Jesteśmy trochę zajęci. A o co chodzi?

— O jakąś zaginioną.

— My się tym nie zajmujemy.

— Ona z tym inspektorem rozmawiała. Dał jej wizytówkę.

— Jak się nazywa?

— Nina Hazlitt.

— Nina Hazlitt? — powtórzył Rebus, tak żeby usłyszał go Bliss.

Ten myślał przez chwilę, w końcu pokręcił głową.

— Czego właściwie od nas chce? — spytał Rebus dyżurnego.

— Nie byłoby łatwiej, gdybyście sami ją o to spytali?

Zastanowił się. Bliss siedział przy biurku, rozpakowując kanapkę z krewetkami i sosem Marie Rose — przynosił ze stołówki zawsze taką samą. Zaraz przyjdzie Cowan, wnosząc na palcach zapach bekonowych chipsów. Może wyprawa na dół to nie taki zły pomysł?

— Zejdę za pięć minut — rzucił do słuchawki i skończył rozmowę. Potem spytał kolegę, czy wydział zajmował się kiedykolwiek zaginionymi.

— Nie uważasz, że i bez tego mamy dość roboty? — Bliss trącił nogą jedno z sześciu zalatujących pleśnią pudeł piętrzących się obok biurka.

— Może Magrath pracował przedtem w wydziale osób zaginionych?

— Jeśli dobrze pamiętam, przez cały czas robił w śledczym.

— Znałeś go?

— Znałem i znam. Od czasu do czasu dzwoni do mnie do domu, żeby sprawdzić, czy WSON jeszcze żyje. To on mnie tu ściągnął i była to chyba ostatnia rzecz, jaką zrobił, zanim dali mu złoty zegarek. Po nim przyszedł Eddie

Trantner, a po Trantnerze Cowan.

— Zdaje się, że powinienem dostać czkawki. — Do pokoju wszedł Cowan. Mieszał cappuccino białą plastikową łyżeczką. Rebus wiedział, że zaraz obliże ją tak dokładnie, że nie zostanie na niej najmniejszy ślad pianki, a potem wyrzuci do kosza. Następnie, siorbiąc kawę, zacznie przeglądać e-maile w komputerze. A pokój wypełni się zapachem wędzonego bekonu i przyprawionych octem krewetek.

— Przerwa na papierosa. — Rebus wstał i włożył marynarkę.

— Oby nie za długa — ostrzegł go szef.

— Już się za mną stęskniłeś? — Rebus posłał mu całusa i ruszył do drzwi.

. . .

Poczekalnia obok dyżurki nie była duża i od razu zobaczył tę kobietę, bo była jedyną osobą siedzącą w pojedynczym rzędzie krzeseł. Kiedy podszedł bliżej, zerwała się na równe nogi. Torebka spadła jej z kolan na podłogę i kobieta przykucnęła, żeby pozbierać jej zawartość. Jakieś karteluszeki, kilka długopisów, zapalniczka, ciemne okulary, komórka. Postanowił jej nie pomagać. Zaczekał, aż wstanie, poprawi ubranie oraz włosy i uspokoi się.

— Nazywam się Nina Hazlitt. — Wyciągnęła do niego rękę.

— John Rebus.

Gdy mocno uściśnęła mu dłoń, na jej nadgarstku zatańczyło kilka złotych bransoletek. Rudawe włosy; bob — tak chyba nazywała się jej fryzura. Czterdzieści pięć, czterdzieści osiem lat i zmarszczki od śmiechu wokół bładoniebieskich oczu.

— Inspektor Magrath przeszedł na emeryturę? — spytała, a kiedy kiwnął głową, podała mu wizytówkę z zagiętymi brzegami i napisami zatartymi ze starości. — Próbowałam

się do niego dodzwonić...

— Tych numerów już dawno nie ma. Co panią tu sprowadza? — Rebus zwrócił jej wizytówkę i schował ręce do kieszeni.

— Rozmawiałam z nim w dwa tysiące czwartym. Poświęcił mi bardzo dużo czasu. — Słowa popłynęły z jej ust jak rzeka. — W końcu okazało się, że nie potrafi mi pomóc, ale robił, co mógł. Nie wszyscy byli tacy, i dzisiaj jest tak samo. Więc pomyślałam, że może do niego przyjdę. — Zrobiła pauzę. — Naprawdę przeszedł na emeryturę?

Rebus kiwnął głową.

— Sześć lat temu.

— Sześć lat... — Niewidzącymi oczami spojrzała ponad jego ramieniem, jakby się zastanawiała, gdzie się ten czas podział.

— Powiedziano mi, że chodzi o kogoś zaginionego — ponaglił ją Rebus.

Kobieta zamrugła i wróciła do teraźniejszości.

— Tak, o moją córkę Sally.

— Kiedy zaginęła?

— W sylwestra dziewięćdziesiątego dziewiątego — wyrecytowała.

— I od tamtej pory nic, cisza?

Nina Hazlitt spuściła oczy i pokręciła głową.

— Przykro mi — powiedział Rebus.

— Ale się nie poddaję. — Wzięła głęboki oddech i spotkali się wzrokiem. — I nie poddam się, dopóki nie poznam prawdy.

— Doskonale panią rozumiem.

Jej oczy złagodniały.

— Tyle razy mi to mówiono...

— Wierzę. — Rebus spojrzał na okno. — Właśnie szedłem na papierosa, może pani też zapali?

— Skąd pan wie, że palę?

— Widziałem, co pani ma w torebce — odparł i

poprowadził ją do drzwi.

Szli przez parking w stronę ulicy. Podziękowała za silk cuta; wolała swoje, mentolowe. Kiedy tania plastikowa zapalniczka odmówiła posłuszeństwa, wygrzebała z torebki zippo.

— Niewiele kobiet ich używa — rzucił.

— Należała do mojego męża.

— Należała?

— Zmarł rok po zniknięciu Sally, tylko tyle wytrzymał. Lekarze orzekli, że to zator. Nie mogli napisać, że umarł ze smutku, nie na świadectwie zgonu.

— Sally to wasze jedyne dziecko?

— Tak. Akurat skończyła osiemnaście lat. Jeszcze pół roku i zdawałaby maturę. Miała iść na uniwersytet, chciała studiować anglistykę. Tom uczył angielskiego...

— Tom to pani mąż?

Kiwnęła głową.

— Dom pełen książek, nic dziwnego, że połknęła bakcyla. Kiedy była mała, Tom zawsze czytał jej coś na dobranoc. Któregoś wieczoru weszłam do sypialni, myśląc, że oglądają razem książeczkę z obrazkami, a on czytał jej *Wielkie nadzieje*. — Uśmiechnęła się do wspomnień i na jej twarzy pojawiły zmarszczki. Chociaż wypaliła dopiero pół papierosa, pstryknęła nim na jezdnię. — Sally wynajęła z przyjaciółmi domek pod Aviemore. Zafundowaliśmy jej ten wyjazd, to był nasz gwiazdkowy prezent.

— Przełom mileniów — rzucił Rebus. — Pewnie sporo wydaliście.

— Owszem. Ale, mimo że domek był czteroosobowy, ich wcisnęło się tam sześcioro. Wyszło trochę taniej.

— Jeździła na nartach?

Nina pokręciła głową.

— Wiem, że Aviemore z tego słynie i co najmniej dwie dziewczyny jeździły, ale Sally chciała tylko z nimi pobycć. Kilka razy byli i w samym mieście, zaproszono ich na dwie

impresy. Wszyscy myśleli, że poszła bez nich na tę drugą. Nie pokłócili się ani nic z tych rzeczy.

— Piła?

— Przypuszczam, że tak. — Było chłodno i Nina zapięła cienki żakiet. — Myślałam, że zadzwoni o północy, choć jej komórka często traciła zasięg. Rano jej znajomi uznali, że kogoś poznała i przenocowała gdzie indziej... — Gwałtownie urwała i spojrzała mu w oczy. — Ona taka nie była.

— Miała chłopaka?

— Zerwali ze sobą tamtej jesieni. Przesłuchano go.

Rebus zupełnie tej sprawy nie pamiętał, ale, z drugiej strony, Aviemore leżało daleko na północ od Edynburga.

— Musieliśmy z Tomem pojechać do Szkocji...

— Skąd? — Chociaż mówiła z angielskim akcentem, założył, że mieszka w Edynburgu.

— Z Londynu, z Crouch End. Zna pan tę dzielnicę? — Rebus pokręcił głową. — Mieliśmy szczęście: kiedy się pobraliśmy, rodzice Toma pomogli nam kupić dom. Byli dość bogaci... — Urwała. — Przepraszam, wiem, że to nieistotne.

— Tak pani powiedziano?

— Mówiło mi to wielu policjantów — przyznała ze smutnym uśmiechem.

— Jak to się stało, że trafiła pani do inspektora Magratha? — spytał szczerze zaciekawiony.

— Rozmawiałam ze wszystkimi, z każdym, kto miał dla mnie czas. Na jego nazwisko natknęłam się w jakiejś gazecie. Zajmował się nierozwiązanymi sprawami. A po tym drugim zaginięciu... — Spostrzegła, że przykuła jego uwagę, i nabrała powietrza, jakby przygotowywała się do długiego monologu. — Maj dwa tysiące drugiego, A osiemset trzydzieści cztery pod Strathpeffer. Brigid Young. Miała trzydzieści cztery lata i była dyplomowaną księgową. Zatrzymała się na poboczu drogi. Złapała gumę. Tam widziano ją ostatni raz. Tylu ludzi co roku ginie bez śladu...